

JAN BOLESŁAW OŻÓG

W ZIELNĄ



FIKcje I FAKTY 5/1987

I

Dziewuchy szły w to niedzielne popołudnie na nieszpory. Błyszczały im na piersiach aksamitne gorsety i na nogach wysokie trzewiki. Krótkie spódniczki ze wstążkami falowały na biodrach i podwiewał je od tyłu zrywający się lekki wiatr odslaniając podwiązki na pończochach powyżej kolan.

Zwalniały kroku przed płotem wójta. Tu przed furtką już kawalerowie wyelegantowani pod krawatami, odprowadzali je łakomymi spojrzzeniami, nawołując nieśmiało do wstąpienia. Odpowiadały, śląc chłopaczyskom uśmiechy:

- Po nieszporach, po nieszporach.

Poprzez ogród i szeroki sad wójtowej zagrody, z drzewami obciążonymi granatowymi śliwkami i zielonymi jabłęczętami, pędziła w wieś, między zapłocia skoczna melodia walczyka, i tej, i tamtej dziewczusze serce uderzało mocniej, ale nie wypadało się oglądać, a tym bardziej przystawać. Czasem podnosiła któraś w nagłym zmieszaniu rękę ku włosom, a inna znów opuszczała głowę w zawstydzeniu i wtedy parobczakom wyrывał się z ust śmiech i rechot. Palili papierosy i wychuchiwali ustami błady dym.

Podrostki z najbliższych domów wpadły na bosaka w swoich białych koszulach i pomiętych portkach wprost z pastwiska przez furtkę. Śmigał im nad głową patykiem z leszczyny Wojtek „Baniak” - tuż za parkanem rosły w dużej kępie te zielone gęste krzaki z liśćmi w ząbki jak liście wiązu, i chłopak urwał tu z pewnością przed chwilą swoje giętkie biczyko. Niektóremu pastuchowi dostało się cienkim patykiem po nagiej łydce, ale nie zważał na to. Pora wyganiania bydła w pole zbliżała się szybkim skokiem i niewiele było już czasu, żeby załapać oczami wszystko a wszystko, co się u wójtów niezwykłego dzieje. Szczurem przebiegały mikrusy przez wrota i potem koło ganku omijając z daleka wyrывającego się spod budy psa, czarnego jak smoła, naszczekującego wściekle i rozpaczliwie. Kapela rznąła od ucha zaraz za stodołą.

Tam właśnie, na zapłociu, z drugiej strony stodoły, Paweł przez cały wczorajszy dzień przyrzynał wraz z ojcem i zbijał deski, przygotowując podłogę do tańców. Ułożona z grubych sosnowych tarcic na szerokich belkach i ogrodzona szykownie poręczami z oskrobanych z kory żerdek, świeciła teraz różowo i żółto spomiędzy pachnących żywicą, wkopanych rzędem koło siebie w murawę jodłowych chojaków.

W jednym rogu podłogi, pod ciężkimi gałęziami choiny rozsiadła się kapela. Brzegi podłogi obsiadły już małe dziewczynki i chłopaki. Dzieciarnia wybuchała śmiechem, bo po podłodze skakali w uciesznych podrygach do rytmu bębna jacyś dwaj dowcipnisie, co chwila chwytając się nawzajem niezgrabnie pod pachy.

Paweł, z czarną, świeżo podstrzyżoną czupryną, rozdżiany z marynarki, paradował w białej koszuli z krawatem szerokim, granatowym, w czerwone poprzeczne paski. Chodził z rękami założonymi w tył po podłodze skrzypiąc podszewkami nowych butów, uśmiechając się dobrotliwie do dzieci, przydeptując sukienki dziewczynkom. Strzelał małymi, zielonawymi oczami, w lewo, w stronę podwórza, bacząc, czy nie nadchodzi ktoś ze starszych.

Nad konarami jodeł przelatowały szybkim lotem ptaki, w pewnej chwili śmignęła nawet z dużym zielonym brzuchem wilga, i urywanym, zwolnionym lotem krążyły motyle, nie wielkie, nie, zwyczajne kapustniki. Zza węgła szopy wychynęło dwu starszych braci Gielarskich. Ściskali mocno obaj wargami białe ogarki papierosów.

- Chodźcie! Chodźcie! - zawołał i zeskoczył w trawę, żeby się przywitać.

Sygnaturka już przedzwoniła i nieszpory rozpędziły się i biegły różnie jak furka po ubitej drodze. Z daleka, w chwilach, kiedy kapela przestawała grać, podmuch wiatru nanosił głos organów, z pewnością brama kościelna stała otworem. Nad polami przypominały się w tej chwili swoim śmiesznym ćwierkaniem jeszcze skowrusie, no, a co to jest takie ćwierkanie w

pełni lata i wobec kapeli, to każdy wie, było naprawdę przyjemnie.

Paweł podprowadził kolegów pod podłogę i dał znak Kotom. Zagrali znowu.

- Tyłu was? - rzucił pytanie.

Władek, starszy, pokręcił głową, a młodszy Walek mruknął:

- Stoją we wrotach chłopaki.

- Pójdę zawołać.

Wymknął się, ale na podwórzu skręcił do ganku. Mimo wszystko nie czuł się swojo.

Otworzył drzwi do komory, ściągnął z półki butelkę, stała tam jeszcze jedna, pękata, przykurzona nieco, wyczuł to palcami, kiedy namacał w ciemności. Podszedł z nią pod otwór w ścianie, kędy przeświecał jasny dzień, wyciągnął korek zębami i wychylił prawie pół. Jak święto, to święto. Dziewuch jeszcze nie ma, myślał, ale nadejdą, o to nie ma strachu.

Rzucił okiem w otwór i stanęła przed nim tylna część ogrodu.

Poprzez sztachety parkanu lśniło seledynowym blaskiem niebo na zachodzie.

W tym kawałku płotu, gdzie kończą się deski, a zaczynają kołki, mizdrzą się do słońka rozkwitłe dziewanny. Poszły mu oczy samopas ku owym dziewannom, i oto przed oczami jego malwy dziewanniane zmieniły kolor. Zamknął na moment powieki, ale nie, nie było to złudzenie, za płotem przystanęła - to było teraz widać wyraźnie - jakaś dziewczucha i nowym kolorem, jaki się pojawił, był kolor wyraźnie wiśniowej sukienki. Zgrabne nogi jaśniały spoza sztachet młódce spod spódnicy, a w ręce tkwiła gałązka z czerwoną różą. Podniosła ją do twarzy i zatętniło mu w piersi. - Poznał - to była Weronka od młynarza.

Uczuł radość ogromną. Weronka idzie na tańce.

Odezwał się spokojny baryton jakieś dalekiej w polu krowy, a dziewczyna podniosła teraz z lekka spódnicę i poprawiła pończochę nad kolanem.

Zobaczył przez moment nagie udo dziewczuchy i wzburzyło mu to krew. Przekręcił odrobinę głowę w bok, żeby lepiej widzieć. Czujnym spojrzeniem obejmował zgrabne kształty jej ramion, kiedy przy pochyleniu, nagie, w krótkich rękawach, obejmowały kolano i nie mógł oderwać oczu od fali włosów, które spadły jej na czoło i twarz.

Stał jak oniemiały, przytrzymując się drżącą ręką chłodnej belki. Uderzył się pięścią w pierś. - Co się ze mną dzieje! Czuję, że ślina zasycha mi w gardle i powoli zdejmowałem dłoń ze ściany.

W tej samej chwili - oczy to jego zaraz pochwyciły - przyłączyła się z tyłu do Weronki jakaś kulawa dziewczyna. Szła krótszą nogą tak, jakby co moment wpadała całą połową ciała w dołek, jakby szła jedną nogą cały czas po głębokich bruzdach i wyglądało to bardzo zabawnie. Ale śmiech zamarł mu na ustach. Przecież to była jakaś koleżanka pięknej młynarzówny.

Patrzył za Weronką.

- Wiotkaś jak wiklinowa chabinka! - szeptał do siebie. Powtarzać zaczął te słowa, nie pamiętając, co mówi, zapominając, co się dzieje dookoła.

Uczuł lekki zawrót głowy, kiedy wychodził na podwórze.

Z otwartej szeroko stajni wyglądał łeb kasztanka. Zobaczyło go konisko, odezwało się potężne rżenie. A niech to krew zaleje! - zaklął w duchu. Koniowi trza jeszcze trawy rzucić. Dopomina się, jakby, cholera, tydzień nie żarł.

Nadlatywał zza płotu rześki, tęgi sztajerek i któryś z Kotów śpiewał dość głośno:

*Na nowej górze
jadą żołnierze
puk, puk w okienecko,
wstań, wstań, panienecko,
koniom wody dać.*

Skrzypce i trąbka powtórzyły melodię, bęben wydzwonił lekki, posuwisty takt, więc Paweł zanucił sobie pod nosem dalszy ciąg:

*Jakże ja mam wstać
koniom wody dać,
zimna, zimna rosa,
a ja cała bosa,
nie mogę wstać.*

Usłyszał urywany rechot od strony wrót, ujrzał zwrócone w swoją stronę głowy chłopaków. Czego się śmieją? - pomyślał. Ze mnie? Zawołał jak mógł najgłośniej:

- Na co czekacie? Płot mocny, po co go podpirać? Chodźcie!

- Idziewa, idziewa, Paweł, tylko na wódkę czekamy - przez podwórze gnał niewyraźny, jakby zachrypli głos „Baniaka”. - Poleciał jeden do sklepu.

Podreptał w stronę stodoły i otworzył wrota. Zaskrzypiały jak rozdarta konopna koszula. Odszukał kosz koło siewkarni, nabrał do niego siewki i zmieszał z leżącą obok trawą.

Ruszył teraz z koszem pod stajnię. Droga niosła go koło obory, z której pasterka krowy wygoniła niedawno w pole.

Stara Dobrzańska szła podwórzem.

- Ciotko, to wy? - zdziwiła go niespodziewana wizyta grabarki.

- Przestraszyłam cię, widzę. Pewnie przed moim strojem schodzisz tak na bok. Ja, jak widzisz, nie w pańskich pelerynach... Mamusia są?

- Są. Czego by nie mieli być?

- Wstępuję ino na chwileckę. Tajemnicę z różańca wymienić. Ładnie, słyszę, u was grają. Zabawa jak na weselu.

- Jaka tam zabawa.

- A zabawa, bal. Ale - szturknęła go palcem w brzuch - czegoś tak ocy we mnie wraził? Ja stara baba, to nie muse się tak galantować, jak dziwcęta galantują. Zaodziwkę mam jeszcze po niebosce-matce, a łat na spódnicy nie rachuj, bo to nieładnie.

- Jeszczeście, ciotko, nie taka stara, to raz, a drugie-łat nie rachuję.

- Nie „ciotko” teraz, nie „ciotko”, ino zbereźniku, do kościoła !

- Byłem na sumie. Nie wystarczy?

- Ładne z ciebie ziółko - śmiała się.

- Ziółka i zioła ksiądz na sumie święcił.

- Nie takie, nie takie.

- Umiecie, ciotko, żartować, ale ja poważnie mówię, podoba mi się takie święto, jak dzisiejsze.

- Zielna to jest Zielna. Święto od Piasta Kołodzieja!

- Zielna. Baby ziół do kościoła naniósły tyle, że pachniało jak od kadzideł. Jeszcze teraz, na niesporach, pełno pogubionego wrotyczu i mięty, i tego wszystkiego, co nigdy nie spamiętać, jak się nazywa, jest dość to pewne, między ławami na posadze.

- Jak Zielna, to Zielna - śmiała się ukazując dziurawe szczyrby w zębach. - Za urodzaje trza podziękować Matce Boskiej - nie?

- Ja, jak widzicie, dziękuję inaczej.

- Słyszę, słyszę.

- Poszlibyście, ciotko, pohulać.

- Osalało chłopacysko! - pogroziła mu ręką wyciągniętą raptem spod zaodziwki i skierowała się ku gankowi.

Tak, szła ku gankowi, a nim zaczęła złość tłuc. Dziadówka - syknął przez zęby. Wielka mi sługa kościelna. Skrzywił się jak po occie. To co wypił przed chwilą w komorze, piec go

zaczynało w brzuchu.

Ścisnął mocniej ucho koszyka i gramolił się przez próg stajni pod poprzeczkę z bukowego drążka. Wysypał sieczkę do żłobu i o mało się nie przewrócił, kobyła tak mocno bokiem nań natarła. Klepnął ją z lekka po zadzie, koń bardzo lubi, jak się go tak klepie po zadzie - i wyszedł. Kosz zostawił koło progu. Wlokła się za nim woń końskiego moczu.

Podszedł do studziennej cembrowiny. Pochylił się i popatrzył w dół. W lustrze wody zobaczył swoją głowę i oczy szeroko otwarte. Wiadro stało obok studni. Podniósł dłonią ucho i uwiesił wiadro u drążka żurawia. Czuł zawrót głowy i słyszał niedaleki czyjś śmiech. Z drugiej strony płodu szła gromada kawalerów.

Z opartych o ściany stodoły drabinek od wozu zwisały długimi brodami wyrwane bady-le fasoli i grochu. Duże strączki pożółkłe wśród żółknących liści zatrzymały na chwilę jego wzrok teraz, kiedy wyciągał wiadro ze studni. Wśród liści i strąków widział twarz Weronki. Miał w oczach wciąż jeszcze widok jej kolan odsłanianych u płotu.

II

Na ganku stał wójt. Z gołą głową. W długie wąsy podmuchiwał mu wiatr. Miał na sobie buty z cholewami, od święta mocno wyglansowane i spodnie z czarnego materiału. Bluzkę z siebie zdjął, paradował w koszuli. Rękami chwycił się za szelki i stał w rozkroku, kiwając się w przód i w tył.

Zamiast w budynku gminnym spotkanie radnych naznaczył u siebie i teraz właśnie czekał na gości. W ogrodzie, zaraz za oknem, widać było wyniesiony stół i dwie ławy. Dla kierownika szkoły, który także przecież w radzie zasiada, również krzesło.

Niedawno gospodarz postawił na stole donicę z czerwonej gliny z kawałkami kielbasy i drugą z pokrajanym chlebem i osełką masła, i wszystko to przykryła kobieta gazetami, żeby muchy nie siadały. Obok donic stały dwie butelki z wódką i kieliszki odwrócone nóżkami do góry.

Pierwszy nadszedł pisarz Motyl. Z daleka go Norak ujrzał, szedł przesunawszy się przez furtkę. Nie było już tam chłopaków, ci co stali przedtem, przeszli za stodołę. Kapela cięła jakąś polkę i Motyl, przeginając się do taktu melodii, sunął powoli. Poprawiał na sobie białą marynarkę płócienną i zielonkawy kapelusz, przesunięty z lekka na bok. Gębę miał szeroko otwartą i oczy się mu uśmiechały. Podał rękę gospodarzowi na powitanie:

- Festyn, wójt, wyprawiacie?

- Ależ skąd! - chrząknął dla dodania sobie powagi Norak. - Jaki tam festyn. Zwykła potańcówka, kolego, nic więcej. Chłopak mój zwołał Kotów, te grają i młodzi potańcują.

- A niech tańczą i skaczą. Od tego są młodzi.

- Myśmy to nie chodzili na muzykę za durnych lat?

- Właśnie.

- Stoję ja tak na schodach i sam słucham, i przypominają się mi dawne czasy.

- Używają sobie młodzi. Ale huk, tupot, śpiewanie! Zeszło się chyba pół wsi.

- Nie szkodzi. Zielna, wielkie święto. Kobieta powiesiła świeżo zioła nad drzwiami - wskazał ręką w górę. Chłopakowi nie mogłem zabronić. Swoje lata przecie ma... No i zniwa wypada uczyć - nie? Tyś już z pola uprzętnął?

Rozmowa potoczyła się wokół aktualnych trosk gospodarskich. Wójt schodził po kamiennych gradusach ganku na dół.

- Od czwartku siekę kosą, żyto zwiozłem. Stoi mi w kopach na polu tylko pszenica. - Motyl wyciągnął rękę z paczką sportów. - Zapalicie?

- Nie zawadzi jednego zakurzyć. Bóg zapłać... A co do kosy, to kosą zawsze przecie

sporzej.

- Mało kto dziś już sierpem tnie.

- Dziad ino. Jak ma dwa zagony ... - wójt prowadził do sadu. - Usiądziemy - wskazał ręką. - Pod drzewami, w cieniu.

- Ano, ciepło dziś. Bardzo ciepło.

Przeszli przez wrotka i dopiero teraz pisarz zobaczył zastawiony pod jabłonią stół.

- Polecimy, zdaje się, w krainę marzeń, wójt - uczenie zagadał pokazując głową w kierunku ław. - To na nasze zebranie?

- A co tu złego? - rechotał wójt. - Zejdą się zaraz radni, ale my sobie łykniemy tymczasem po jednym... Siadajże, człowieku - pchnął lekko pisarza ku ławie i sam usiadł obok. - Okazja niecodzienna, bo ponoć wybory.

- Wybory? - wycodził Motyl z niepewnością przez zęby, ale wyszczerzył na koniec siekacze. - Wszystko, widzę, przygotowujecie zawczasu. Jak to mówią, od siemienia, od korzenia.

- Trzeba się przecież trzymać razem w kupie, jak i ludzi urabiać.

- Ale interes niepewny. We wsi coraz więcej ludowców. Czyta się tylko „Piasta”, „Gazetę Grudziądzką”, „Wici”.

- Ucichną, ucichną - zarechotał wójt. - Drapała w kryminale. - Podniósł gazetę i ukazała się donica z kielbasą i butelka. Chwycił flaszkę i nalał wódki do obu kieliszków. - Rząd nie pozwoli na awantury i bunty.

- Nie słyszeliście? Dróżnika przecie puścili.

Norak zaniemówił na dobrą chwilę. Podniósł lewą rękę do wąsa, jakby go chciał podkręcić. Wykrztusił:

- Niemożliwe!

- Jak to niemożliwe? Już od tygodnia siedzi w domu. Wynikła głupia sprawa.

- Jaka sprawa?

- Nie pamiętacie, co się stało na organistówce? Policja się boi, bo jak Drapała drapnęła im z aresztu, to za nim strzelali.

- To co?

- W rezultacie została zabita organiścianka.

- Koń ją zabił.

- Ale nie bez winy posterunkowych. Sprawa śliska. Woleli go tam z Sokołowa zwolnić i łeb wszystkim ukręcić.

- Tym gorzej dla łazika. - Wójt przychodził do siebie. - Tym gorzej. Jak go złapią na nowej awanturze, to sobie dopiero wtedy posiedzi. Wiem, co mówię... No, siup!

- Za wasze zdrowie, wójt!

Wychylili jeden i drugi kieliszek.

Za parkanu podniosły się tymczasem na podwórzu czyjeś głosy. Szedł kierownik szkoły i dwu radnych, za nimi ksiądz kanonik.

Wójt postawił kieliszek na stole i powiedział ściszym głosem:

- Nasz pan Pińczak już jest. I jegomość.

Muzyka rwała naprzód, jak rzeński i rozkoszny potok pod gałęzie drzew.

- Tutaj, moi kochani, tutaj! - wołał wójt i podnosił się z ławy.

- Co w świecie, panie kierowniku? - podbiegał już do Pińczaka. - Ciągłe się pisze i mówi o wojnie.

- O Hitlera chodzi? - uniósł Pińczak brwi wysoko, jakby w dziwieniu. Osunął się zaraz plecami na oparcie krzesła, palce rąk wsadził za pas i roześmiał się. - Hitler podskakuje, jak zawsze, jakby mu tyłek pokrzywami kto parzył.

- Pan tam więcej wie, bo przecież w gazetach piszą.

- Odgraża się Hitler wojną - pisarz odezwał się z końca stołu - ale na kogo on ją właści-

wie rychtuje?

- Jak to „na kogo”? Na cały świat. Na Francję, na Anglię. Na naszą Polskę także.

- Na Polskę? A co on szuka na naszej biednej ziemi?

- To jest słusznie postawiona sprawa - odwrócił twarz ku pisarzowi nauczyciel. - Zapali pan? - wyciągnął papierośnicę, która przy otwieraniu strzeliła mu z lekka w dłoń. - Bardzo proszę.

- Owszem, wyciągnął do papierośnicy rękę Motyl i chwycił w palce sporta. - Dziękuję.

- Wsunął papierosa między wargi, a Pińczak podświecał mu już zapalniczką. - Co z tego nadejdzie? Chyba te pretensje porządnie grają na nerwach Piłsudskiemu.

- Co pan powiada? - zadziwił się ksiądz kanonik, opierając brzuch o stół. Trzymał w palcach nad talerzem widelec z nadzianą wędliną. - Czytam tylko „Przewodnik Katolicki” i coś tam pisali o tym, ale tak niewyraźnie.

- Nie słyszał ksiądz kanonik? A toć przecie nasz kochany „Dziadek” o mało co nie wydał rozkazu marszu na Berlin - poderwał się na krześle Pińczak.

- Nie może być! Piłsudski? Naprawdę?

- A co? Nie umiałby Piłsudski poprowadzić nas na Berlin, jak kiedyś prowadził na wschód?

- Dawno to było.

- Właśnie. A teraz nie ma spokoju na zachodzie. Nie ma i ciągle nie ma. Hitler się zbroi.

- O co się mu rozchodzi? - stanęła koło stołu w tej chwili wójcina niosąc nowe talerze z wędliną.

- To i was ciekawi polityka? - roześmiał się hałaśliwie Biernat. Siedział dotąd cicho na ławce.

- To źle? - stawiała talerz na stole. - I Hitlera jakbym miotłą z brzeziny przez pysk zdzieliła, to by mu się wojny odechciało.

Cały stół z gośćmi zatrzęsł się od gromkiego śmiechu.

- No właśnie. Mają mamusia rację - roześmiał się Pińczak i pociągnął głębiej papierosa. - I taką miotłę się już przygotowuje. Tylko nie z brzeziny.

- No cóż? - wtrącił się nagle ksiądz. - Wzywał podobno Hitler posła Wysockiego na długą rozmowę. Klął się na najuczciwsze zamiary. Boi się polskich armat, proponuje wspólny niemiecko-polski marsz na Moskwę. Proszę pomyśleć - na obce terytoria! Koniec końców ofiaruje na teraz pakt o nieagresji.

- Ech! - roześmiał się wójt lekceważąco.

- Dobrze - chrząknął Pińczak - ale chce od Piłsudskiego drugiego marszu na Rosję.

- To byłby przecież marsz niemieckiej armii przez nasze ziemie.

- Oczywiście. I na to się przecież rząd nie zgodzi.

- Można się domyśleć, jakby wyglądało takiej wejście niemieckich wojsk do nas - mru- czał Biernat. Podnosił do ust trzymany w palcach kawałek kielbasy. - Marny byłby widok.

- To wszystko bajki - poruszył się niespokojnie za stołem pisarz. - Nie wierzę.

- Cicho siedźcie, Motyl - skulił się w sobie wójt. - Pleciecie głupoty.

Nauczyciel ciągnął niezadowolony:

- Najgorsze to, że Piłsudski jest, proszę panów, chory i to podobno bardzo chory.

- Ale przecież są generałowie - zauważył ksiądz.

- Są generałowie, ale potrzebny jest wódz nad generałami. Niemcy chcą wojny z Rosją, bo się im nie podoba komunizm, ale jakby Piłsudski, nie daj Boże, umarł, to chyba z Polski by się im wycofać nie bardzo chciało. Wojnę wtedy, jakby już z bolszewikami zaistniała, może by prowadzili, ale nie tak chyba długo. Ugodziliby się z nimi, ale na naszych ziemiach zostali - nie?

- Z czerwoną armią nikt nie wie, jak to wygląda - powiedział pisarz. - Rośnie przecież w siłę, to nie jest tajemnica, i Hitlerowi dałaby porządnego łupnia.

- Tak, tu kryje się niebezpieczeństwo.
- Jej, jej, jej - straszycie mnie Niemcami i na dodatek jeszcze czerwonymi bolszewikami! W głowie się kręci - ksiądz kanonik wstawał od stołu. Widać było, że opuszcza towarzystwo. - Czas na mnie. Bawcie się, a czerwoną armią nie straszcie. Akuratnie przed trzynastoma laty rozbiło się ją nad Wisłą. Piętnastego sierpnia - w dzień Matki Boskiej Zielnej.
- Rocznica dziś - zamruczał nauczyciel.
- Tak - rocznica. Ostańcie z Bogiem, do widzenia wam, wójcie - zwrócił się do gospodarza domu i podał mu rękę. - Wszystkiego dobrego, radźcie sobie już sami o wyborach, ja się nie bardzo na tym wyznaję.
Poderwał się wójt na równe nogi i odpowiedział:
- Do widzenia. Dziękuję.
Radni odezwali się chórem:
- Z Panem Bogiem, księżę kanoniku!
Ksiądz podniósł czarny swój kapelusz ze stołu i nałożył go obiema rękami na głowę. Powoli odwrócił się i szedł przez ogród.
Podreptał za nim Norak:
- Wskażę księdzu dobrodziejowi drogę. Poprowadzę. - Ujął księdza proboszcza ostrożnie pod pachę.
Od budy zerwał się na łańcuchu pies i zaczął ujadać jak wściekły. Przygłuszała go muzyka z za stodoły. Kapela grała jakąś polkę.

III

Wiatr dmuchał w spocone twarze i od lampy z szerokim talerzem, wiszącej u wysokiej gałęzi chojaka, rozkołysanej niespodzianie, ruszały się na podłodze i trawie ciemne cienie jak skłębione z sobą pająki.
- Jak dobrze, żeś przyszła! - krzyczał Weronce w ucho, poprzez wir muzyki i tupotu nóg mało było słycać.
Spuściła głowę i milczała. - Jaka wstydliva - pomyślał i przycisnął dziewczynę mocniej do siebie. Tłukło mu serce jak stępa.
- Pierwszy raz tańczę - powiedział. - Jesteś śliczna.
Roześmiała się zdziwiona, ale mile polechtana:
- Z takimi, jak ty, trudno mówić.
- Ale! Nie cyganię - błysły mu oczy w świetle lampy. Umyślnie przesadzał akcentując każde słowo, aby uwierzyła jak bardzo się cieszy. Nie poznawał siebie. Długo nie mógł do niej podejść, kiedy tańczyła już z innymi chłopakami, drżał na całym ciele, patrząc na nią, patrząc na linię jej bioder, aż wreszcie odważył się. Dzwoniły mu zęby, kiedy powiedział pierwsze słowa przy pierwszych krokach walca: „Weronciu”. A teraz opadł z niego strach i wszelkie skrępowanie. - Strasznie mi się podobasz.
- Każdy chłopak cygani.
Przycisnął ją z lekka do siebie i uczył pełne i ciepłe jej piersi.
- Ja nigdy!
Dziwiła się sobie. Nie odczuwała oporów, przeciwnie, podobać się jej zaczęło zacięcie dryblasza i słuchała jego słów. Śmiały był ten wójtów syn.
- Strasznie się ucieszyłem, jakem cię tutaj zobaczył.
Roześmiała się:
- Odciągnęła mnie Zośka Słoduchowa z domu.
- Ta kulawa?

- Ta kulawa. Jest tutaj gdzieś.
- Widziałem. Bierze ją nawet ten i tamten do hulania.

Czuła wiatr w uszach i war w piersiach, opiętych ciasną bluzką, a frazy muzyki rozmarzały ją. Paweł trzymał ją mocno przez pól, krok podawał zwinnie, unosił ją niemal w tańcu, kręciło się jej w głowie. Spódniczka ulatywała jej w górę, chłód owiewał nogi i kolana. Było przyjemnie i słodko.

Gdy się nad nią pochylał, wargami dotykał jej włosów. Pachniały kwiatem róży, który sobie wpięła za uchem. Przypominała mu teraz ta woń aromat ziół święconych w sumę. Ta woń przesycala nie tylko cały kościół po kruchtę, w której stał z innymi kawalerami, ale także niosła się na dziedziniec, kiedy po mszy wyszła procesja i ksiądz poprowadził ją wokół kościoła.

Nosił zwykle podczas procesji chorągiew ufundowaną jeszcze przez dziadka. W tę sumę przecisnął się także z chorągwią przez ciasny tłum kobiet niosących swoje snopki ziół i kłosów, jak się nosi małe niemowlęta w ramieniu i kroczył zaraz za baldachimem. Szły przed księdzem z zapalonymi świecami dziewczęta i między nimi dostrzegł Weronkę, tak, ją. Miała na sobie białą sukienkę i cały czas, wśród zapachu ziół, wrotyczu, marunki, bożego drzewka, dzwonienia dzwonek ministranckich i śpiewu patrzył tylko na nią, na jej biodra ślicznie zaokrąglone i na nogi odsłonięte do kolan. Tłumił oddech z zachwytem, gubił krok, gdy plecy proboszcza w ornacie przysłoniły mu widok dziewczyny, czuł drżenie warg, odpychał z lekka napierające z boku kobiety, żeby znów uchwycić sylwetkę dziewczyny. Teraz miał ją w ramionach, ach!

Robiło się coraz ciasniej od tańczących par, jeden o drugiego trącał, potykał się o czyjąś nogę. Drepcilo się w miejscu i można było na moment odsapnąć, kolanami otrzeć się o kolana.

Weronka chwilami porywana w wir przez mocne ramiona, doznawała znów zawrotu głowy, mimo to poddawała się z chęcią woli wójtowego jedynaka. Bawiło ją to. Czuła upojenie i radość.

Dawno na taki taniec czekała.

- Gorąco! - wyrwało jej się.
- Co powiedziałaś?

Powtórzyła głośniej, uchylając głowę w tył.

Zobaczył w półmroku jej białą, piękną szyję i sznur koralu na niej. Zabiło mu serce mocniej i przyświadczył zgodliwie:

- Gorąco. Ciepła noc.
- Samo lato. Słodkie jak miód w liliowym kielichu.

Koty urwały kawałek nieco za długi i pary stanęły, rozprzegając się z widoczną ulgą.

Opuścił rękę z pasa dziewczyny zawadzając z lekka o biodra. Zauważyła to. Dała się mu podprowadzić za rękę pod brzeg podłogi, gdzie stała ławka.

Dziewczyny ciężko oddychały i poprawiały sobie włosy, kawalerowie w swoim kółku rozpinali marynarki i chwyтали się rękami pod boki.

Zeskoczył z podłogi w trawę i nie puszczał jej ręki.

- Chodź.

Zeskoczyła za nim lekko.

- Przejdziemy się. No, dla ochłody - powiedział miękko.

Śmieszył ją ten chłopak. Co za śmiałość i pewność siebie. Czy to tak można? Nie powiedziała mimo to ani słowa i pozwoliła się mu prowadzić w ciemność po trawie.

Ścisnął jej rękę, uczuła to, oddała mu uścisk i tak weszli na podwórze. Powiedziała teraz:

- Napiałabym się wody.
- Zaraz nabierzemy - odpowiedział i poprowadzili się w kierunku studni. W oknie w

po bliznu ganku świeciło się i widać było poprzez szybę wójcinę - coś ona tam trzymała w rękach, pewnie jakieś łyżki, wycierała je ręcznikiem.

Od stajni zaszczekał pies, ale natychmiast ucichł, zachrobotał łańcuchem i wskoczył w budę.

- Poczekaj, przyniosę garnuszek.

Przytrzymała go ręką:

- Nie trzeba. Napiję się bez garnuszka. Ach... - podeszło jej coś pod nogi.

- Uważaj! - krzyknął i przytrzymał ją. - Koryto. Ubiłaś się?

- Nie. - Przeszła obok szerokiej kłody, rzuconej koło studni. - Ciężkie jak z kamienia!

- Wyrwidąb by nie podniósł.

- Ale „Baniak” podniesie - wybuchnęła śmiechem. - Jest tu na zabawie, widziałam, przyszedł.

- No to co? Nie wolno? Kto chciał, to przyszedł. Mnie to obojętne.

- Ale trza się pilnować. Nie słyszałeś, co ta łajza narobiła u Płocha na weselu?

- Słyszałem, wiem. Wrzucił koryto starym do studni.

- Trzy dni wyciągali potem to koryto z cembrowiny!

- Zemścił się. Płochowa kucharka nie poszła z nim pono do hulania. Upili go jakimś samogonem.

Wyciągnął już wiadro ze studni i postawił je na wrębie cembrowiny. Namacała je i przechyliła. Dotknęła wargami zimnego brzegu i piła powoli, ostrożnie, żeby się nie oblać.

- Ale zimna! - oddała mu wiadro i teraz pił on.

- Nie ma to jak dobra woda!

- Jak się chce pić - roześmiała się znów i odstąpiła krok w tył, ale podszedł do niej zaraz i uchwycił ją ponownie za rękę jak małą dziewczynkę. Pociągnął ją za sobą.

Teraz stawiała mu opór:

- Gdzie prowadzisz?

- Boisz się? - parsknął udanym śmiechem, wyczuła to. - Pójdziemy do ogrodu. Urwie-my sobie gruszek.

- Ciemno.

- Nie szkodzi. Ja ci i tak narwę.

Szła wobec tego za nim powolnym kroczkiem, i przeszli przez podwórze, i on otworzył zaraz potem jeszcze jedną furtkę, i stanęli wśród drzew.

Na gałęzi najbliższej jabłoni - widać było odrobinę małych zielonkawych jabłek - świeciła się jakaś latarnia i oświetlała niewyraźnie stół, obrus, puste butelki - jedna leżała przewrócona - i donice. Ława jedna już leżała do góry nogami.

- Co to było? - zapytała po cichu.

- Nic takiego. Skończyło się zebranie rady gminnej - mruknął i pociągnął ją dalej, w mrok, między gałęzie.

- U was teraz radni radzą?

- Co ja na to poradzę? - roześmiał się.

W kącie ogrodu zatrzymał ją łagodnie i przechylił jedną gałąź.

- Masz, rwij!

- Tak, to są wspaniałe owoce. Nie ma to jak dojrzałe gdule! Wielkie, słodkie jak cukier. - Szukała ich chciwie po ciemku między liśćmi i podniosła jedną do ust, i żaby rechotały w oddali i na niebie błysnęła jej z boku poza gałęzią srebrna, jasna gwiazdka.

Jeszcze trzymała gałąź w ręce, gdy naraz uczuła, że ją ogarniają z przodu mocne ramiona.

Ustami pełnymi jeszcze mięszu nie mogła wołać, zamknęła je jej gorąca pieczęć warg Pawła.

Coś podobnego! Puściła gałąź i westchnęła z cicha.

Na to czekał. Przygarnął ją silniej lewą ręką w pasie, a drugą zaczął głaskać po włosach.

- Weronciu! - powiedział i uczuł dreszcz po sobie.

- Co? Co ty wyrabiasz!

- Kocham cię - powiedział tak, jakby z tym słowem oswojony był Bóg wie od jak dawna.

- Co?

- Nie widzę świata za tobą.

Nie wiedziała, co robić. Śmiać się? Zatkąło ją to wyznanie. Wyszeptała tylko:

- Cicho, bo kto usłyszy.

Czuła dotyk jego ręki na włosach, najpierw niepewnej, drżącej. Pochyliła się ku niemu desperacko, zrobiło się jej przyjemnie, i ręka jego głaskała jej włosy coraz pewniej, spokojniej. Ten lekki, miękki dotyk męskiej młodej dłoni! Nie jest to przecież brzydki chłopak - pomyślała. Wcale nie. Ach, jeszcze nikt jej tak nie głaskał.

Przebiegło ją mrowie błogości. Rozstawiła instynktownie nogi, nie rozumiejąc, co się dalej stanie.

Zdjął rękę z jej włosów i dotknął lekko, nieśmiało jej bioder.

Zamroczyło ją, nie wiedziała zupełnie, co się z nią dzieje. Zaczęła się cofać, poczuła bowiem, że się pod nią uginają nogi, i nie zdając sobie sprawy, co robi, szukała w ciemności rękami oparcia. Dłonią natrafiła na chropawą korę, obok stał pień czereśni.

Oparła się o pochyły pień i teraz żaby przestały rechotać i liście na drzewie szeleścić. Odezwała się muzyka i zatupotały z daleka buty po deskach podłogi.

Czuła, jak dłoń młodego, wielka, gorąca, rozdygotana, o smukłych palcach unosi jej leciutko spódnicę i posuwa się po kolanie w górę. Zerwała się i oboma ramionami gorąco objęła Pawła za szyję.

Po chwili rozległ się poprzez ogrody metaliczny krzyk kobiety. Ale stłumiły go wartkie takty rzeszowskiej polki.